

Eichlerówna „przed ślubem” ● Fatalna gospodarka (wielką indywidualnością) ● Shaw, niestety już zwietrzal ● Kabarety — teraz tylko do poczytania ● Mile wspomnienia o Kotach (siedmiu!) i o Owcy ● Plakat — ze zmniejszoną siłą uderzenia ● Malgosia — Oleńka?

RZADKO OSTATNIO chodziliśmy do teatru, jeszcze rządziej, do teatru „Komedia”. Każdy występ Ireny Eichlerówny jest jednak sensacją artystyczną, której pominać nie można, tym bardziej, jeśli wielka aktorka występuje jednocześnie jako adaptatorka tekstu, czyli, jeśli sama przygotowała dla siebie rolę i sztukę.

Teoretycznie, Eichlerówna należy do zespołu Teatru Narodowego. Widziałem ją tam w „Czajce”, równo przed dwoma laty — i to wszystko. Nie jest to oczywiście, rozsądna gospodarka aktorską indywidualnością; ogólnie wiadomo, że jeśli na szczęście (czy nieszczęście) ma się w zespole wielkość tej miary, to obowiązkiem dyrektora (i wobec teatru i wobec publiczności) jest takie planowanie repertuaru, aby owa wielkość nie marnowała się bezużytecznie. Wiele już na ten temat pisano, jeszcze więcej mówiono.

Jeśli Berliner Ensemble ma u siebie Ernesta Buscha, *Comédie Française* — Annie Ducaux, a *Burtheater* — Paulę Wessely, to żaden z tych teatrów nie wyobraża sobie, aby mogły upłynąć — dajmy na to, dwa tygodnie — bez jednego przynajmniej wieczoru, w którym ich asutownicy nie mogłyby zmieścić właściwego dla siebie pola do popisu: świetnej roli, w świetnej sztuce.

Można nie być entuzjastą Eichlerówny (ja nie jestem), a jednak łatwo dostrzec absurd gospodarowania jej talentem. W rezultacie, jak twierdzą wtajemniczeni — ostatnie dwa lata, te od premiery „Czajki”, poświęciła Eichlerówna na adaptowanie sztuki, w której zagrała teraz na żoliborskiej scenie, piętząc jeszcze w ten sposób, narosłe wokół niej nieporozumienia. Dlaczego? Dlatego, że sztuka ta jest już całkowicie zwietrzałym próchnem, walcującym temat od dawna wyczerpany, dialogiem, śmieszającym teraz mało kogo. Skołowany widz, nie może się nadziwić: jak to? Heroina, stworzona do tego, by swym legendarnym zaśpiewem wypowiadać strofy Racine'a czy Schillera (jak to niegdyś bywało), traci czas na podobne błahostki?

Sztuka jest co prawda, Shawa, a program teatralny przypomina entuzjastyczne oceny, jakie na jej temat wygłaszały Słonimski i Boy, tyle, że przed... 42 laty! Kochani, 42 lata, to cała epoka teatru, to całkowita zmiana sposobu myślenia, całkowita zmiana instytucji społecznych, to przepaść, na któ-

rej drugim brzegu, stary kpiarz nie zawsze umie się odnaleźć.

Sztuka zaczyna się „Przed ślubem”; przed ślubem młodej pary zakochanych, z tym, iż w pierwszym akcie, instytucja małżeństwa zostaje doszczętnie skompromitowana, młodzi skłóceni nie chcą o sobie słyszeć i dopiero w drugim — dochodzą do wniosku, że małżeństwo mimo swoich wad, jest jednak najrozsądniejszym sposobem związania się dwojga młodych; rzecz kończy się, gdy jest już... po ślubie.

Motorem całej akcji — lecz motorem praktycznie wchodzącym na scenę dopiero w drugim akcie — jest właśnie Eichlerówna. Oczywiście znakomita, gorzej — że nie zawsze znajdująca na scenie pełnowartościowych partnerów, aczkolwiek — Igor Śmiałowski, Irena Karel, Andrzej Stocinger i Cezary Julski — starają się dotrzymać jej kroku.

Nawiasem mówiąc, Cezary Julski, największy aktor w Polsce (192 cm wzrostu!), dyskretnie obchodzi w tej sztuce 35-lecie swej pracy na scenie. Strasznie ten czas leci; zawsze miałem Julskiego za przedstawiciela, no... powiedzmy średniego (nie wzrostem oczywiście) pokolenia aktorskiego, a tu już ćwierć wieku!

Bawić się na Bernardzie Shaw, dziś już coraz trudniej. Niestety, tak się złożyło, że jeśli idzie o zabawę, to w ostatnim okresie w Warszawie było z tym trochę ciężko. Tu niby koniec karnawału, przed pączkami Blikiego trzech milicjantów regulowało ruch od świtu w tłusty czwartek, a w kabaretach — cisza! Wszystkie nieczynne. Dudek, w pełnej tajemnicy przygotowuje swe estradowe gwiazdy do nowego programu (już spóźnionego zresztą), *Epida* w lutym nie gra, bo Jan Pietrzak wyjechał na występy do USA, gdzie, rzecz jasna, nie śpiewa swego znanego przeboju:

*Tam się zgina w układnym ukłonie
Kiedy gość go poklepie po plecach,
Tam haruje jak wół do wieczora
Bo mu patron pół centa obiecał,
A już w drodze powrotnej do kraju
Myśli jak ulepszyć socjalizm...*

lecz śpiewa za to szereg innych, niemniej doskonałych, chociaż bardziej międzynarodowych piosenek.

U *Kierdziółka* także nikt nie pracuje, bo *Oferski* też z *Oceanem*, *Owca* Jerzego Dobrowolskiego, zmarła śmiercią nienaturalną, krótko mówiąc — jedyne, co na razie z twórczości kabaretowej mamy do dyspozycji, to... książeczkę Ryszarda Marka Grońskiego „Od Siedmiu kotów do Owcy”, czyli dzieje naszego kabaretu w latach 1946—1968.

Wynika z tego dziełka sporo, a zwłaszcza to, że wbrew ogólnemu malkontentowi na ten temat, dorobiliśmy się jednak w powyższym okresie paru niezłych stworzeń kabaretowych (koty, owca, szpak, dudek, koń, Kwiatkowska) i niezłych kabaretowych tekstów — dziś już niemal klasycznych.

Książeczka Grońskiego jest właściwie wyborem takich tekstów, odpowiednio tylko skomentowanych, opisanych tak, aby czytelnik miał wrażenie, iż sam uczestniczy w kabaretowej zabawie, że ma bilet...

Z tym, naturalnie, jest jednak pewien kłopot. Wiadomo bowiem, że kabaret to nie tylko tekst, nie tylko aktor i rekwizyt, lecz przede wszystkim atmosfera. Klimat, który może — choć nie musi — zrodzić się na spektaklu, lecz nie może — na kartkach choćby najlepszej książki.

Trochę też szkoda, że Ryszard Marek Groński, człowiek zdolny lecz młody, dobrze zorientowany w twórcach i kabaretach dzisiejszych, z którymi bywa (*Epida*) twórczo powiązany, nie dość dokładnie zebrał informacje z lat dawniejszych, z czasów, których pamiętać sam nie może. Stąd np. znaczna pobieżność w opisanie Przekrojowych „Siedmiu kotów”, szczególnie w poinformowaniu kto właściwie ten kabaret założył, kto dla niego pisał, kto nim kierował (a wystarczyło wziąć po prostu do ręki parę starych, pozółkłych programów...). Niemniej, miło pozyczyta u Grońskiego, że:

„Gdyby nie „7 kotów” — nie zagodiliby w naszych domach Starsi Panowie. Niez to elementu poetyckiej fantazji K. I. Galczyńskiego przeniknęło do piosenek i skeczy Jeremiego Przybory...

Gdyby nie „7 kotów” — nie mieliśmy Kwiatkowskiej. Gdyby nie „7 kotów” — kabaret byłby truplarnią przedwojennego sentymentu...

Dziękujemy i polecamy książeczkę Grońskiego każdemu kto interesuje się trochę kabaretem, lub kto po prostu — chce się pośmiać z dobrych, a niekiedy znakomych tekstów...

W sumie jednak Warszawa przestała być ostatnio miastem kabaretów, pozostała — miastem plakatów. Może to już atmosfera przed nadchodzącym w tym roku międzynarodowym Biennale Plakatu, ale dla interesujących się tą dziedziną grafiki, dziedziną będącą jednocześnie — co tu mówić — zwierciadłem współczesnego życia — atrakcją w stolicy nie brak. Niezależnie od stałej ekspozycji wilanowskiego Muzeum Plakatu, w lutym czynne były w Warszawie trzy wystawy: Międzynarodowy Plakat Jazzowy, Polski Plakat Filmowy 1971 oraz Plakat Wrocławski. Znam rangę i siłę naszego plakatu; jeśli brak mi w nim czegoś, to tylko jednego elementu w plakacie filmowym: jednolitości uderzenia, czegoś, co dawno już wymyślono w wielu krajach świata.

Rzecz w tym, że zleca się u nas — i słusznie — projektowanie i wykonanie kilku plakatów do jednego filmu, zapominając o tym, iż siła oddziaływania jest co najmniej podwójna, gdy wszystkie one posiadają jedną cechę wspólną: kształt czy formę graficzną, specyficzny, obmyślony tylko dla tego jednego, jednego filmu kró-



Irena EICHLEROWNA i Cezary JULSKI w sztuce Shawa „Przed ślubem”

członki tytułowej czy jednolity koloryt itp., itp. Wtedy kampania reklamowa — jeśli można — tak określić — trafia w sedno, atakuje widza, gdziekolwiek się znajdzie. Nie znamy u nas tego prostego chwytu.

W lutym, Warszawa oblepiona była plakatami „Perły w koronie”. I dwa czy trzy projekty istotnie utrzymano w identycznym tonie; miały tę samą formę graficzną, lecz już trzeci czy czwarty był zupełnie z innej parafii. Rozpraszala się tym uwaga, decenterowało zainteresowanie.

Jeśli już o zainteresowaniu mowa, to mnie osobiście najsilniej zajął ostatnio, nienowoczesny zresztą plakat z „Polowania na muchy”. Patrząc na twarz super-nowoczesnej intelektualistki *Malgoszy Braunek* (aktualnie matki 2-miesięcznego syna, *Ksawerego*; *Przekrój* gratuluje!), chciałem wyobrazić sobie, jak to będzie, gdy *Malgosia* — jak chodzą słuchy — naprawdę zagra *Oleńkę* w „Pocie”. Będzie chyba dziwnie?

Wracając do wystaw! Odwiedziłem maleńki pokój przy *Ośrodku Kultury Czechosłowackiej*; miejsce wystawy obrazującej dorobek 25-lecia upaństwowionego czeskiego przemysłu fonograficznego. Trudno o wystawę bardziej skromną, aby nie rzec — wystawę zmarnowanej okazji.

Przemysł fonograficzny CSRS, to potęga, dobrze znana i wysoko ceniona na rynkach światowych. Aby przypomnieć jej osiągnięcia, trzeba by pokazać dziesiątki cennych nagród i medali zdobytych za czeskie nagrania na najwyższych notowanych konkursach, pokazać wspaniałe serie wydawnicze, które przybliżyły światu muzykę rzadką, niepopularną, a piękną, opowiedzieć obrazem, czy komentarzem, wielkie doświadczenia w upowszechnianiu dobrej muzyki mechanicznej. Krótko mówiąc, zobrazować to, z czego słynie *Supraphon*: kulturę nagrywania, sprzedawania i słuchania muzyki.

Tymczasem na wystawie — kilka przypadkowo dobranych okładek, kilka plakatów, trzy, cztery adaptery nowej produkcji, miły głos z głośnika witaający nas po przyjeździe i niemiły głos portiera nawołujący, aby dokładnie wycierać buty i nie brudzić posadzki...

I tak oto poezja muzyki, zmieszala się z prozą życia.

L. K.